



arch. Piotr M. Glegoła  
architekt IARP

# Jestem królem z bajki

Ciągłe ktoś mi udowadnia, że jest mi dobrze, a ja zupełnie bez sensu marudzę i narzekam. Mówią, że piszę te felietony i wciąż w nich wspominam o pieniądzach, udowadniając, że ich nie mam. A przecież wiadomo, że mam, więc po co się wygłupiam? Oczywiście każdy moment, w którym stawiam tezy, że jako architekt nie mam gotówki jest felietonowo śmieszny, ale ile razy można powtarzać ten sam dowcip, jak powiedziała mi pewna znajoma.

Zaczęło mi się wydawać, że żyję w jakiejś innej niż całe otoczenie rzeczywistości. Przecież to chyba jakaś choroba – wszyscy uważają, że mam coś, czego nie mam. Diagnoza psychiatry nic jednak nie wniosła (nie stwierdził zaburzeń) prócz tego, że problem znowu się pogłębił. Otóż zapłaciłem za wizytę 180 złotych, a fakt ten skłonił mnie do refleksji l'esprit de l'escalier, że mógłbym za tę kwotę kupić oryginalny tusz do drukarki albo nowy numer jakiejś światowej gazety architektonicznej. Właściwie to nie wiem, dlaczego kosztowało mnie to właśnie tyle... Przecież znajomy polecający ten gabinet zapewniał, że za wizytę płacił 120 zł. Nie powinienem chyba zakładać, że ma to związek z głębokim „aaaaa...” pana doktora, kiedy pod koniec sesji odpowiedziałem na pytanie o zawód jaki uprawiam...

Nadszodowany wydatek miał swoje konsekwencje, bo po psychiatrze wybierałem się na imieniny cioci, a w ten sposób zostało mi tylko 20 złotych z 200, które miałem przed chwilą. Tymczasem trzeba przecież było kupić cioci kwiaty. Może trudno Wam w to uwierzyć (znowu), ale konto miałem puste, bo klient powiedział mi poprzedniego dnia, że akurat nie ma pieniędzy, właśnie kupił nową działkę, ale jak tylko wróci z Karaibów, to zapłaci za tę przeterminowaną fakturę. Oprócz tego dodał rubasznie w przekonaniu, że serwuje mi świetny dowcip: Przecież nie zbiednieje pan, wy architekci to macie takie ceny...

Wszedłem do kwiatarni. Sprzedawca, starszy pan, perorował w kierunku zarumienionej po uszy eleganckiej staruszki, prezentując właśnie skomponowany bukiet... Ładny, co? Wiedziałem, że będzie się pani podobał.

Ja znam się na ludziach. Jak klient wchodzi, to od razu wiem, czy mu się spodoba gerbera czy lilia... A co mnie się spodoba za 20 złotych? – zadałem sam sobie pytanie. Może trzy róże? Tylko skąd wiedzieć, ile kosztuje przybranie? Sprzedawca rozgadał się. Pani słuchała go z rozbawieniem. Stanowiliby ładną parę...



No właśnie. Przyjaciel opowiadał mi o swojej żonie, która uważała, że jako architekt świetnie zarabia. Żony nie lubią jednak kryzysów, zwłaszcza gospodarczych... W pozwie rozwodowym określiła wysokość jego zarobków na 30 tys. zł miesięcznie i zażądała alimentów w wysokości 8 tysięcy, płatnych co miesiąc. Mówił, że trzymając w rękę pozew, myślał, że patrzy na literówkę. Okazało się jednak, że nie. Przed sądem długo udowadniał, że nigdy tyle nie zarabiał – owszem obrót jego pracowni był kilka razy większy, ale koszty ogromne. Przedłożył roczne pity, pokazał faktury... Sąd jakoś to przekonało, ale żonę nie – powiedziała na koniec rozprawy, że przecież miał dochody ukryte, nie ujęte w fakturach i jak się je zsumuje, to wychodzi co miesiąc te 30 tysięcy...

Co gorsza, tak samo myślą młodzi architekci. Biedne dzieci wybierają ten zawód w przekonaniu, że wystarczy jakoś przesiłzgnąć się przez studia i już... 30 tysięcy miesięcznie! Oczywiście przeboleć trzeba tę nikomu niepotrzebną praktykę, gdy trzeba się poniżyć do tego, aby zarabiać jakieś kilka marnych tysięcy na miesiąc... Ale teraz

będzie lepiej, bo przecież zderegulowali nasz zawód. Więc może od razu po studiach będzie 30 tysięcy z etatu na rękę? Widzieli w polskich komediach romantycznych! Niestety w realu następuje w tym miejscu dziwnie wyraźna rozbieżność...

Zauważyłem też, że moi byli pracownicy, którzy kiedyś tak kłócili się ze mną o wysokość pensji, gdy ich spotykam po latach, uśmiechają się z pokorą na to wspomnienie. Ten zbankrutował, ten właśnie zawiesił działalność, a inny zrezygnował z wolnego zawodu i zatrudnił się na budowie... I uwierzcie: wcale nie mam satysfakcji, że zrozumieli dopiero teraz.

Tymczasem kwiatciarz perorował dalej – ...A przybranie też ma znaczenie... jedni chcą takie pstrokate, a inni eleganckie. Po pani widać, że pani gust jest wybredny – ja jestem świetnym psychologiem i znam się na ludziach... – klientka zarumieniła się, musiała być kiedyś piękną kobietą... No właśnie kobiety... W tym pokaleczonym świecie coraz więcej jest ludzi, którzy chcą odnaleźć się znowu. Na każdym spotkaniu towarzyskim zawsze jest ktoś po bolesnych przejściach, kto ma nadzieję na nowe życie. Odnoteowałem przy tym, że zawód architekta nadal jest synonimem blichtru, awangardy i dostatku finansowego, więc jego przedstawiciele budzą zainteresowanie. Doszło do tego, że aby mieć święty spokój – nie reklamuję się z moim zawodem. Zawodem, z którego taki jestem dumny i tak go kocham. Smutne... Ktoś w końcu zauważył przecież, że król jest nagi...

Spojrzałem na zegarek. Ciocia zapewne nalewa już zupeł... Chcąc zwrócić w końcu na siebie uwagę rozgadanego sprzedawcy kwiatów, przerwałem mu lekko zirytowanym tonem: Jak pan tak się zna na ludziach, to niech pan powie, co myśli o mnie!? Kwiatciarz niechętnie obrócił się w moją stronę, wyraźnie niezadowolony, że przerywam mu pogawędkę, lecz szybko się zreflektował, szelmowsko uśmiechnął do klientki i rzucił w moim kierunku głosem znawcy: Ja to się znam na ludziach, a po panu widać, że ma pan pieniądze...